



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 gr. 20.

KRÓLEWIEC I GRUNWALD

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Felixa S***

I

Okropna burza srożyła się nad Bałtykiem, kiedy wielki mistrz Zakonu Teutońskiego, Konrad von Wallenrod, zegnał się z tem światem. Jeżeli kiedykolwiek biblijna nazwa „padołu płaczu“ na tym biednym świecie dała się zastosować, to nigdy trafniej niż za jego rządów—do Litwy, którą on zrabował, spalił, krwią zalał i w prawdziwą pustynię zamienił; bo taki był, według jego zdania, najskuteczniejszy sposób nawrócenia pogan na wiarę chrześcijańską.

Krzyk rozpacz Litwy i Żmudzi obył się o Rzym i inne stolice mocarzy chrześcijańskich; lecz przewielebny zakon umiał się zawsze wytłómaczyć, oczyścić i uniewinnić, a nawet żarliwe rycerstwo zachodnio-europejskie na pomoc sobie przywołać. Bezczelne kłamstwo w memoriałach i instrukcjach dawanych poselstwom tak samo nie go nie kosztowało, jak najkrwawsze zbrodnie w krajach, które miał nawracać. I prześwietne rycerstwo z Anglii, Niemiec, Burgundyi i Francyi śpieszyło tłumnie, pod tytułem gości zagranicznych, na obronę uciśnionego i zagrożonego zakonu.

Co się tyczy własnych poddanych, i ci za Wallenroda nie dobrze się czuli. Prowincye zakonne zawdzięczały mu ogołocenie z ludzi i pieniędzy i ostateczną swą nędzę. Bezprawia, samowola,

żdzierstwo i rozpusta wielebnych komturów, rycerzy i rządców prowincyj, stały na równi z szalonymi pomysłami i marnotrawstwem najprzewielebniejszego wielkiego mistrza, którego jednak, rzecz dziwna, kapituła zakonu, zawsze tak przezorna i nikomu niedowierzająca, jednomyślnie na władzę i pana tylu krajów wybrała.

Dwa lata cztery miesiące i dni piętnaście jego rządów były prawdziwą klęską dla posiadłości krzyżackich: mimo to wszelako, nie masz, jak się zdaje, śladu w ówczesnych dziejach, iżby mu rada zakonna wyznaczyła do pomocy dygnitarza, noszącego nazwę „Hochmeister-Compan“, jakiego innym mistrzom dodawała z włożonym nań obowiązkiem szpiegowania ich czynności.

Konrad von Wallenrod zeszedł z tego świata pośród dziwnych okoliczności. Jego śmierć prawie nagle, w d. 25 Lipca 1393 r., była zagadką dla wielu. Czy on sam ją sobie przyspieszył, czyli też zmarł z woli cudzej, czy na koniec umiejętność lekarska skróciła mu życie? trudno to dziś, po upływie czterech wieków zbadać. W każdym razie śmierć odpowiadała życiu i panowaniu. Żył jak szaleniec, któremu dano miecz w rękę, i umarł w przystępie szaleństwa i gniewu, bez spowiedzi i żalu za grzechy; umarł z przekleństwem na ustach, bo nie podano mu nawet wody, której na próżno żądał w swej chorobie, trwającej tylko jedną dobę.

Gmin, rycerstwo a nawet i księża, posadzali go o czarnoksiężstwo i zмовę z piekłem; bo i któż w owych wiekach wolnym był od zabobonów? Widać jednakże, że między dygnitarzami zakonu musiał mieć gorących stronników, jeżeli go po dwóch daremnych na Litwę wyprawach, po oderwaniu się Witolda od Zakonu i utracie Kowna wraz z innymi zamkami krzyżackimi, nie złożono z urzędu.

Nakoniec za jego rządów popełniono straszliwą zbrodnię, która daremnie o pomstę woła. Wallenrod puścił ją bezkarnie. Ślady jej na długi

przeciąg lat znikły z przed oczu ludzkich, aż nareszcie Bóg Wszechmocny wymierzył za nią nad złoczynią sprawiedliwą karę.

Następca Wallenroda, Konrad von Jungingen, człowiek rozumny i sprawiedliwy, wiele miał do czynienia, zanim ujął w karby posłuszeństwa komturów, rycerzy i wójtów czyli rządców, aby zapewnić opiekę prawa poddanym zakonowi i umożliwić ich dobrobyt, który mu więcej leżał na sercu, niż poszukiwania zwyciężkich wawrzynów na polach bitew nad Niemnem i Wilią. Nie lubili go też Krzyżacy, ale się go bali: jemu o to właśnie chodziło. Nazywali go „Mnisi kapicą“; ale cóż znaczyły pokątne szemrania wobec człowieka zbrojnego w nieugięty charakter i rozum! Konrad Jungingen otoczył się tem, co w zakonie było najlepszego: szczupłym wprawdzie, lecz dobranym kołem ludzi, przywiązanych do zakonu, spokojnych i prawych; umiał nawet pozyskać sobie przyjaźń i szczere poparcie Wielkiego Ks. Witolda, z którego rad i pomysłów nieraz korzystał. Przez czternaście lat jego rządów niesforność, rozpusta i złe namiętności nie śmiały podnieść głowy, charaktery chwiejące się musiały wejść na drogę obowiązku, uczucia chrześcijańskie wzmacniały się i wszędzie po kommandoryach osiadła cisza klasztorna. Wielki mistrz, fanatycznie przywiązany do reguły i białego habitu, nie zapominał wszelako, że jest zarazem władcą świeckim i rycerzem, i Krzyżacy wiedzieli, że zgniótłby w swojej żelaznej rękawicy każdego, kto by śmiał stawiać opór prawnej jego władzy.

Takim był człowiek, który stanął na czele zakonu po gwałtownym i fantastycznym Wallenrodzie.

II

Wkrótce po jego obiorze na godność wielkomistrzową przybył z jakiejś prowincyi niemieckiej,

do Gdańska, zawołany lekarz, nazwiskiem Korneliusz Agrippinus, który, prócz medycyny, trudnił się jeszcze tak zwanymi umiejętnościami ukrytymi: astrologią i alchemią. Niektórzy królowie i książęta chrześcijańscy potępiali te dwie nauki, jako bezbożne i z natchnienia złego ducha pochodzące, inni znów nie widzieli w nich nic zdrożnego i astrologów protegowali, a nawet przy swoich dworach utrzymywali i zasięgali ich wróżby w ważnych sprawach państwa dotyczących.

O tym Korneliuszu Agrippinie trzeba powiedzieć, że przez władze zakonne nie był on prześladowany, a sam przez ostrożność unikał wszelkiego rozgłosu i dawał odpowiedzi, horoskopy i przepowiednie tym tylko, co do których był mniej więcej pewnym, że mu za jego praktyki, trące czarnoksiężstwem, nie wytoczą przed sądem zakonnym sprawy.

Pewnego wieczora, we Wrześniu 1393 r., przybyli doń trzej rycerze teutońscy z żądaniem przepowiedni. Uczony mistrz umiejętności tajemniczych nie znał ich wcale; nie widział nawet ich twarzy, albowiem od stóp do głów okrywali ich zbroje i przyłbice hełmów mieli spuszczone; nie powiedzieli mu przytem swych nazwisk i wymienili tylko imiona: Andrzej, Markward i Henryk; lecz niepodobna było odmówić. Korneliusz Agrippinus z pierwszego rzutu oka na ich groźne i napiętnowane pychą postacie, wyprowadził tem niewątpliwym wnioskiem, że ma do czynienia z ludźmi, którzy nie znoszą żadnego oporu przeciw sobie. Zapytawszy więc o datę ich urodzenia i jeżeli nie o nazwiska, to przynajmniej o imiona, miał się ku wyjściu z sali do swojego obserwatorium, kiedy jeden z nich, rycerz Henryk, zapytał: — Jak długo potrwa ta czarnoksiężska czynność?

— Ah! dostojny panie! — odrzekł Korneliusz drżącym z przestachu głosem. — Mogę wam na świętą Ewangelią przysiąc, że w mojej umiejętności nie masz ani cienia czarnoksiężstwa, i że jestem tak wiernym, jak i wy sami katolikiem....

— Temlepiej, temlepiej — odpowiedział rycerz. — Ale pytałem się ciebie: jak długo czekać będziemy na twoją przepowiednię?

— Godzinę czasu, a może kilka minut dłużej, dostojny panie!

— Pamiętaj! — rzecze znów rycerz. — Możesz sobie odejść; ale pośpiesz się z odpowiedzią, bo nie mamy czasu do stracenia.

Sędziwy mistrz astrologii wyszedł, a trzej goście zaczęli się rozglądać po sali, napętnionej różnemi przyrządami mistycznej Wieków Średnich mądrości. Foliały, w poźółkły pergamin oprawne, retorty, karty astrologiczne, przedstawiające widoki nieba w różnych doby godzinach, astrolaby, cyrkle, koła azymutowe, wypchane sowy i nietoperze: wszystko to leżało, rozrzucone w uczonym nieładzie, na dwóch wielkich stołach, okrytych czerwonym suknem. Nakoniec nad tym całym zbiorem różnorodnych przedmiotów, jako przypomnienie marności tego świata, na wysokim stosie ksiąg greckich, arabskich i łacińskich, panowała czaszka trupa.

— Przekleństwo! — zawołał rycerz Henryk. — Czy tylko dobrze się stało, żeśmy weszli do tego przybytku, w którym, oczywiście, dyabeł przemieszkuje?

— Eh, co znowu? — odrzekł Markward. — Nie możesz przecie posądząć o bezbożność naszego wielkiego szatnego Wernera von Tettingen: a mówiłem z nim o przepowiedniach astrologów.

— I cóż ci on odpowiedział?

— Zapewniał mnie, że w ich sztuce nie masz nie przeciwnego wierze i Kościołowi naszemu.

— A ja jednakże — przerwał znów rycerz Henryk — jeżeli mam wyznać szczerze, to chętnie-bym ztąd wyszedł. Słyszę, jak nasze konie w dziedzińcu biją niecierpliwie kopytami o bruk. Mam tu z sobą uczonego nad uczonymi, który nam to wszystko lepiej wytłómaczy, niż stary Werner von Tettingen, choć i temu nie brak mądrości i doświadczenia. Bracie Andrzeju! — dodał zwracając się do trzeciego rycerza, który dotąd milczał. — Powiedz też: czyśmy dobrze zrobili, żeśmy do tego przedsionka piekła zawitali?

Trzej jeźdźcy przez dobrą godzinę pędzili do Gdańska wyciągniętym kłusem; rześisty pot oblewał teraz ich czoła i wszyscy trzej prawie w je-

dnej chwili pozdejnowali hełmy, aby przed nadejściem astrologa swobodniej i pełniejszą pierśią odetchnąć. Wówczas to ukazały się przy świetle lampy i kilku świec jarzących, stojących na stole, trzy fiziognomie dziwnie złowrogie. Rycerz Markward, rudawy blondyn, dosyć otyły, dobrego wzrostu, nosił na twarzy piętno, które nieustające orgie, rozwiązłość i najgorsze namiętności odbijała. Widać w nim było człowieka na wszystko gotowego; ale rodzona matka nie-by ponętnego, ani nawet przyjemnego na jego obliczu odszukać nie potrafiła.

Rycerz Henryk miał włosy ciemne, wzrost słuszniejszy, był to nawet nie brzydki mężczyzna; ale jego fiziognomia łączyła w sobie wszystkie cechy znamionujące twarz Markwarda, z dodatkiem zarozumiałości i samochwalstwa.

Najprzystojniejszym z nich był niezaprzeczenie rycerz Andrzej. Jego postać była wysoka i kształtna, rysy twarzy regularne, wzrost jasny, czoło myślące i rozumne; ale kto raz tylko spotkał spojrzenie jego szaro-błękitnych oczu, musiał wzrok odwrócić, czując to instynktownie, że ma przed sobą człowieka strasznego.

Lecz oto Henryk powtórzył swoje pytanie:

— Co sądzisz, bracie Andrzeju, czyby nie lepiej było, gdybyśmy ztąd w tej chwili odjechali, nie czekając powrotu uczonego mistrza Korneliusza?

Rycerz Andrzej rzucił na swoich braci zakonnych spojrzenie złowieszcze, pełne szyderstwa i głębokiej nienawiści — i odrzekł:

— Nie poznaję was, waleczni rycerze, po waszych skrupulach. Nie mieliśmy ich wcale w Królewcu!

— I zawsze Królewiec! — odrzekł Markward, pobladłszy nagle.

— Tak jest, zawsze! — odparł Andrzej. — Zawsze, dopóki starczy mi życia i pamięci!

Henryk, niemniej zmieniony na twarzy, niż Markward, spuścił wzrok ku ziemi i odezwał się głosem przytłumionym:

— Po co to wspomnienie? Stało się — i nikt nie wróci przeszłości. Pytamy się ciebie: czy przystoi rycerzom zakonnym wypytwać o przyszłość pierwszego lepszego czarnoksiężnika, i rozmyślnie zaciągać stosunki z piekłem?

— Z piekłem? — powtórzył Andrzej z okropnym uśmiechem. — A czy wiesz, gdzie jest piekło?

— Na tamym świecie — odpowiedział Henryk.

— A ja wam powiadam, że nosicie je w sobie, w otchłaniach waszego serca! Przedzaj czy później pożrą was jego płomienie!

Markward, przerażony, cofnął się o parę kroków, a rycerz Andrzej mówił dalej:

— Nie chcecie słyszeć przepowiedni, to jedźcie! Zejdźcie z moich oczu. Ja was nie szukałem. Słupy przypadek zbliżył was znowu do mnie. Odetchnę swobodniej, kiedy się rozstaniemy.

— Uspokój się, bracie Andrzeju! — rzekł Markward, przyszedłszy do siebie. — Pamiętaj, żeśmy wówczas nie mogli inaczej postąpić.... Wyraźne dobro zakonu wymagało tego po nas.... nieodbitcie.

Brat Andrzej, wysłuchawszy z zimną pogardą tych kilku słów Markwarda — rzekł znowu:

— Boicie się usłyszeć wyrocznię swoich przyszłych losów? I cóż was zatrzymuje? Jedźcie!...

— Nie możemy, bracie! — odrzekł Markward. — Trzej rycerze, trzej komturzy Zakonu Teutońskiego, nie mogą się cofać przed własnym żądaniem. Taki brak ducha nie przystoi mężom. Chcieliśmy wiedzieć, czekajmy.

Rycerz Andrzej, opanowawszy potęgą woli gwałtowne wybuchy gniewu, który w nim rozmowa z dwoma innymi rozniecił, nie nie odpowiedział i głębokie milczenie osiadło w starożytnej sali. Po upływie godziny, trzej komturzy powkładali hełmy i spuścili przyłbice, usłyszawszy w przyległej komnacie powolne kroki astrologa. Nie życzyli sobie, oczywiście, iżby ich poznał z twarzy.

Mistrz Korneliusz Agrippinus wszedł do sali blady, drżący i przerażony.

— I cóż, uczony mistrzu? — zapytał go komtur Andrzej, postąpiwszy kilka kroków naprzód. Cóż wam powiedziały znaki zodyaku, czyli domy słońca, jak je wasza umiejętność nazywa?

— Dostojny panie! — odpowiedział astrolog. — Są okoliczności, w których położenie skromnego sługi mądrości bożej bywa niewysłownie drażli-

wem, wobec wielkich i potężnych panów. Jeżeli wszechmądra Opatrzność ukryła przed oczyma śmiertelnych ich przyszłe losy, to trzeba uznać z pokorą jej wolę: uczyniła to widocznie dla spokoju i dobra ludzkości.

— Cóż mam ztąd wnosić, mistrzu? — zapytał komtur. — Dowiedzieliście się zapewne rzeczy niepomysłnych dla mnie i tych dwóch rycerzy, których widzicie przed sobą? Mówcie śmiało! Jestem mężczyzną i nie drzę wcale przed losem, jaki mi przyszłość gotuje.

— I my dwaj podobnie — przemówił Markward tonem, w którym lekkie odbijało się drżenie. — Słuchamy cię mistrzu.

— Dostojni panowie! — odrzekł astrolog z coraz bardziej wzrastającą niespokojnością. — Przebaczenie wspaniałomyślnie waszemu pokornemu słudze, że nie może uczynić zadość waszemu żądaniu. Nauka ludzka jest błahą, ułomną, a przyszłość w ręku Bożem.

— Uczony mistrzu! — odezwał się znowu komtur Andrzej. — Gdybyś posiadał również głęboką znajomość natury ludzkiej, jak jest rozległa twoja nauka, osądziłbyś z łatwością, że twoja odpowiedź zaostriżyła do najwyższego stopnia moją ciekawość, zamiast ją uśmierzyć. Mów tedy, mistrzu!

— Bóg Najwyższy jest mi świadkiem, dostojny i przewielebny panie, że byłem zawsze wiernym i przywiązany sługą świętego Zakonu Teutońskiego; szczyściłem się nawet życzliwością i względami najdostojniejszego mistrza prowincji niemieckiej, Konrada von Eglofstein, bo z Niemiec tu właśnie przybyłem: cóż zatem bardziej słusznego nad moje życzenie, iżbym się utrzymał i nadal w łasce i względach władz zakonnych?...

— Rozumiem, — odrzekł komtur. — Zapewne gwiadzy oznajmiły wam zarazem i przyszłe niepowodzenie zakonu.

Wahanie się, a nawet przestach wystąpił znowu na zwiędłą twarz Korneliusza, który, pomilczawszy chwil kilka, odezwał się nareszcie:

— Pozwólcie mi, szlachetni panowie, poprzestać na zapewnieniu, że w tym ustępie przepowiedni, który się was dotyczy, nie widzę, iżby w przyszłości groziło wam jakiekolwiek nieszczęście. Oto jest wszystko, co wam powiedzieć mogę.

Rycerze Henryk i Markward, chwilę przedtem przeklinali w duchu ciekawość, która ich do astrologa przywiodła, ale teraz, usłyszawszy to zapewnienie, nabrali odwagi i gorąco zapragnęli dowiedzieć się, jaka była osnowa przepowiedni. Korneliusz Agrippinus napróżno się opierał; ton głosu i groźne słowa jego wieczornych gości zmusiły go do wyjawienia im tajemnic przyszłości.

— Wasze wspólne losy, dostojni panowie, wiążą się z przyszłością zakonu, — przemówił nareszcie starzec drżącym i przerywanym głosem. — Wiem, że przemawiam do dygnitarzy, do członków prześwietnej kapituły zakonnej; wiem, że dość jednego słowa ust waszych, iżby mnie starto z oblicza tej ziemi; lecz całą nadzieję moją pokładam w prawości rycerskiej serc waszych. Raczcie przytem pamiętać, że jedynie tylko na wasz rozkaz usta otworzyłem...

— Boicie się odpowiedzialności, — rzekł komtur Andrzej, kładąc na stole kieskę pełną złota. — Daremna obawa! Jeden włos z głowy waszej nie spadnie. Mówcie więc bez wahania się — śmiało.

— Chcecie więc tego koniecznie? — zapytał starzec, kłaniając się głęboko swojemu gościowi.

— Chcemy, — odrzekli wszyscy trzej; przyczem komtur Henryk, próżny i chełpliwy z natury, złożył niemniej hojną ofiarę przed astrologiem; sam tylko Markward wstrzymał się od datku.

— Książęce to dary, — rzecze znowu starzec, — lecz zanim je przyjmę, zaklinam was, przewielebni i dostojni panowie, raczcie miłosciwie uwolnić mnie od objawienia wam rzeczy, na którą każdemu prawemu Niemcowi serce z boleści pęknąć musi.

— Nasze serca, — odrzekł komtur Andrzej z ironią pełną goryczy, — nasze serca nie są tak czułe! Nie pękały i nie zalewały się krwią na Litwie i Żmudzi, wśród powszechnego spustoszenia, pożogi, łez i krwi strumieni. Nasze serca, mistrzu, podobne są do tarczy Ajaxa, pokrytej siedmiu skórą. Widok trupa na placu bitwy

lub wisielca na szubienicy nie sprawia na nich żadnego wrażenia. Mów tedy, starcze! Chcę wiedzieć, co ma nastąpić w przyszłości: chcę, bom po to do ciebie przyjechał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZJAZD PEDAGOGICZNY W KOŁOMYI.

(Dalszy ciąg)

Po raz wtóry—mówił Dr Trachtenberg—witamy was w murach naszego miasta, po raz wtóry obchodzimy z wami doroczne święto narodowe, bo za takie uważamy wasze zjazdy, na których zdajecie sprawę narodowi; w tej chwili stajemy wobec sprawy najżywniejszej: kraj z chlubą na was spogląda, na was, którzy dierzycie w rękę przyszłość naszą, dierzycie młodzież, a młodzież to nasza przyszłość, która oby dorównała przeszłości. Pobyt wasz pomiędzy nami sprawia nam radość i uśmiech; witamy was serdecznie, witamy ze szczerem życzeniem, ażeby z chlubnych prac waszych obfite plony na cześć i dobro kraju wykwitły.

Pospieszamy tutaj odeprzeć zarzut jednego z dzienników rusińskich, jakoby p. burmistrz miał mówić: „łomanoju polszczyńoju“ — przeciwnie: mówił językiem ozdobnym, wyszukany, co zresztą choćby powyżej zestawione niektóre urywki jego przemówienia pokazują, a nieznaczące właściwości w wymawianiu (któraż prowincja nie ma swoich właściwości?) lub mała usterka stylistyczna (czy wszyscy od nich wolni, zwłaszcza w przemówieniach publicznych?) nie stanowią jeszcze łamanej polszczyzny.

Witał następnie zgromadzonych imieniem Rady Powiatowej wice-prezes tejże rady ksiądz kanonik Koblański rit. gr. przemówiwszy krótko, ale serdecznie w języku rusińskim: — „Znad Wisły przybyliście nad Prut, aby nad przyszłością pracować. Dobrej pracy Bóg zawsze błogosławi: toż nie ustawajcie w pracy raz powziętej w duchu zgody i miłości. Z dwóch narodowości składamy się, ale jedną stanowimy rodzinę: w tym duchu was witam i w tym duchu żyję:—Szczęść Boże!“

W odpowiedzi zabrał głos prezes towarzystwa, p. Sawczyński. — Powitanie to wasze serdeczne i szczere ma dla nas wielkie znaczenie, bo wskazuje zarazem cel naszego towarzystwa; złożyło się, że witają nas: prezydent miasta, obywatel wyznania mojżeszowego i zastępca Rady Powiatowej, proboszcz obrządku greckiego; odzywają się do nas przedstawiciele wiar różnych i narodowości różnych; i my w łonie naszym posiadamy i tych i tych. Właśnie celem naszym jest praca nad przyszłymi pokoleniami bez różnicy wiary i narodowości; a hasłem naszym miłość, która odróżni nie zna. Należy się to każdemu stworzeniu boskiemu, aby je kształcić podług praw jego przyrodzonych, a kształcić powinniśmy tak, ażeby kiedyś miłowało kraj i ziemię i to społeczeństwo, w łonie którego żyć i działać mu przyjdzie. Do miłości prowadzi się tylko przez miłość; niedawne hasło: do miłości przez nienawiść,—to rzecz bezbożna w ustach każdego uczciwego człowieka; przez nienawiść uczyć kochać, to rzecz chyba szatańska.

Zadanie naszego Towarzystwa jest rozległe, nie ogranicza się ono na sprawach samych nauczycieli, ale stanowi sprawę całego narodu, sprawę wspólną; to sprawa nie jednego zawodu, ale rodziców, społeczeństwa: wszyscy mają prawo do wychowania, wszystkich ono obowiązuje; dlatego też przybywamy zdawać sprawę przed wami, szukając poparcia, otuchy, wskazówek. Oceniajcie naszą pracę, nie stronniczo, ale jako pracę dla wszystkich. Znad Wisły przybyliśmy nad Prut, abyśmy lepiej poznali obywateli i kraj ten, w którym żyjemy, abyśmy, poznając go bliżej, uczyli się kochać go więcej. Kosmopolitów wychowywać nie myślimy; każda okolica ma swoje wybitne cechy i naród tu żyjący wycisnął swe piętno, które, zaiste, poznać się godzi. Przenosząc się z miejsca na

miejsce, poznajemy te cechy, poznajemy ludzi i stosunki miejscowe; to nam dodaje otuchy, gdy widzicie, że żadna strona kraju nie jest nam obojętną, że nie pomijamy nic, co nam do godniejszego spełnienia naszego zadania pomódz może. Nabieramy sił nowych pomiędzy wami i wiary w skuteczność pracy pod hasłem wzajemnej miłości. *Et sanabiles fecit populos terrarum*—Bóg uczynił nas uleczalnymi, mówi Pismo Św.; chorzy jesteśmy, wierzymy przecież w uleczalność przez wychowanie zdrowe po myśli bożej, po myśli przeszłości narodu. Tem hasłem witam szanowne zgromadzenie i ogłaszam XVI walny zjazd Towarzystwa Pedagogicznego za otwarty.

Zabiera głos p. Trzaskowski, dyrektor gimnazjum w Tarnowie, wyrażając żal po zgonie tego męża, który od początku niezmiennie wspierał towarzystwo słowem i czynem, Dra Fr. Nowakowskiego. Nestor ten pedagogów naszych zabierał często głos w sprawach wychowania, odznaczając się młodzieńczym zapałem i uwielbieniem dla b. naszej Kommissji Edukacyjnej. W kilku broszurach do historii nauki czytania, postawił on wyżej naszą metodę zprzed 100 lat nad współczesną niemiecką. Zostawił bogaty zbiór elementarzy. Zgromadzenie daje wyraz żalowi swemu przez powstanie i uchwałę, aby posłać odpowiednie zawiadomienie wdowie po nieboszczyku. W podobny sposób uczczono pamięć dwóch jeszcze zgasyłych w r. b. członków honorowych Towarzystwa, obywateli wielce zasłużonych i znanych szeroko: Ignacego Łukasiewicza i Alfreda Młockiego.

Następnie przeczytano listy i telegramy gratulacyjne. Hr. Iz. Dzieduszycki nadsyła do rozdania pomiędzy uczestników zjazdu 100 egzemplarzy swej broszury p. t.: *Patryotyzm w Polsce*. Z entuzjazmem przyjmowano telegramy czeskie, których otrzymano 7 (liczymy tu także 2, nadeszłe trzeciego dnia zjazdu). Telegram Centralnego związku Stowarzyszeń Nauczycielskich w Czechach brzmiał w polskim przekładzie: — „Waszym pracom około narodowej oświaty życzymy z całej duszy najlepszego powodzenia. Hasło wzajemności słowiańskiej, które wnosicie na jezdzie, niechaj zabrzmi po wszystkich ziemiach naszych“. Piękne były trzy telegramy trzech „jednot“ to jest stowarzyszeń, kółek nauczycielskich czeskich, a dalej telegram czasopisma lekarskiego tudzież krótki telegram Redakcyi *Vyesmiru* (Wszechświata): — „Najnieomylniejszym postulatem pedagogii — prawa przyrody“. — Był także telegram w języku polskim nadesłany z Kounic pod Czeskim Brodem, przez nauczycieli szkoły ludowej i przez młodzież akademicką, bawiących na wakacjach: — „Duch wielkiego naszego Komeńskiego i duchy naszych poetów łączą nas, bracia Słowianie, jaknajściślej; przesyłamy wam gorące czeskie „na zdar“, powodzenia waszemu Zjazdowi: „Kochajmy się!“

Trzymając się porządku dziennego, załatwiono różne sprawy formalne i lokalne, jak: sprawozdanie ze stanu funduszy Zarządu Głównego, wybór komisji lustracyjnych dla tychże funduszy, tudzież funduszy „Szkoły“ i innych wydatniw towarzystwa, wybór komisji do zbadania różnych wniosków oddziałów towarzystwa, wybór komisji sędziów do ocenienia wystawy szkolnej i t. p.; szczegóły te, jako mniej mające dla nas interesu, pomijamy, zaznaczamy tylko, że nad niektórymi wnioskami toczyła się żywa dyskusja, zwłaszcza w sprawie uposażenia suplentów (to jest początkujących nauczycieli) szkół średnich, tudzież moralnego stosunku władzy, (to jest dyrektorów i inspektorów), do młodych nauczycieli; w ostatniej tej kwestyi wiele śmiałych bardzo ale i pesymistycznych poniekąd zdań wygłosił Dr Pechnik, młody nauczyciel gimnazjalny z Tarnowa, przemawiając w imieniu oddziału Tarnowskiego.

Do atrybucyj walnego zgromadzenia należy mianowanie członków honorowych z osób, które odznaczyły się szczególnymi zasługami na polu oświaty narodowej. W przyznawaniu najwyższej tej godności w towarzystwie zachowywano dotąd należytą powściągliwość i oględność: tytuł ten posiada tylko 17 osób, a między innemi: Włodz. hr. Dzieduszycki; Dr Józef Majer (prezes Akademii Umiejętności); Dr An. Małacki; Paweł Stalmach; Jó-

zef Ig. Kraszewski; St. hr. Potocki; Jerzy książę Czartoryski; Bron. Trzaskowski, Zyg. Sawczyński (Radca szkolny, prezes towarzystwa) i Dr Teofil Gerstmann (wice-prezes towarzystwa, najczynniejszy członek w zarządzie). Do godności tej podniesiono obecnie dwóch czynnych członków towarzystwa, którzy oddali w dziennikarstwie wielkie usługi sprawie wychowania; są nimi: pp. Jan Dobrzański, nestor dziennikarzy galicyjskich, redaktor *Gazety Narodowej*; tudzież Tadeusz Romanowicz, publicysta, poseł miasta Lwowa, współredaktor *Reformy*, wychodzącej w Krakowie. — Obecny Romanowicz dziękował za „ten zaszczyt, o którym nie marzył“, zapewniając, że będzie to dlań nową podniętą, nową ostrogą do dalszej pracy.

Następnie professor Dr. Żuliński w długim przemówieniu wykazywał genezę wystawy szkolnej, uważając ją jako wyraz praktycznego kierunku szkół galicyjskich; poczem posiedzenie zamknęto, pospieszając na otwarcie wystawy. Przygotowujemy osobny artykuł w ważnej tej materii, który stanowić będzie dopełnienie niniejszego sprawozdania, tymczasem chcielibyśmy zakończyć je treściwem opowiedzeniem ważniejszych kwestyj, poruszonych w dwóch następnych dniach zjazdu.

(Dokończenie nastąpi)

MIŁOŚĆ WIEKÓW UBIEGŁYCH

STUDYUM Z PRZESZŁOŚCI

Maryana Dubieckiego.

(Dokończenie).

Obowiązek wziął górę nad uczuciem, walka długa skończyła się zwycięstwem rozumu i powinności obywatelskich. Rycerz nasz, acz zbolący, szukający chwilowego uspokojenia i ratunku na swe sercowe utrapienie w koleżeńskiej, wesołej uczcie, rzekł, iż wszystko skończone; z rezygnacją, w której brzmiały dźwięki poważnej nader pobudki. O pobudkach tych nie mówi wprawdzie Pasek na tej karcie, co zamyka opowieść o losach jego miłości, niemniej jednak, wobec opowiadań szczegółowych o walce wewnętrznej uczucia z obowiązkiem, nie podobna ani na chwilę wątpić o pobudkach, które go skłoniły w ostatniej chwili do stanowczego zerwania nici swych marzeń i wyrzeczenia, że jego zamysły wniwecz się obrócili. Po bożny rycerz XVII wieku każdą sprawę życia rozpoczynający od modlitwy i zwracający nieustannie wzrok ku nieziemskiemu przestworzom, gdzie szuka natchnienia, pomocy, gdzie widzi źródło wszelkich spraw ziemskich i w tej ostatniej chwili, chwili stanowczego, lecz wśród ciężkich i bolesnych wahań się otrzymanego zwycięstwa, wśród tryumfu opłaconego wyrzeczeniem się rojeń najmilszych, woła: „Miły Boże, podobno to do mojej intencji nie masz Twojej świętej woli...“ Nie przypisuje on sobie tu żadnej zasługi, nie rozszerza się nad swem cierpieniem, którem zwycięstwo okupił. Przytoczone przed chwilą wyrazy, były ostatnim okrzykiem bólu kochającego serca.

Od owej chwili znika wszelkie wahanie się. Rycerz nasz już nie czyni ani jednego kroku na drodze możliwego poniekąd połączenia się ze swą ukochaną, acz okoliczności składają się potemu; nie pragnie wejść do szeregu hufcu, który czas jakiś miał jeszcze w Danii pozostać, lecz spieszy, by copędzej opuścić rodzinną ziemię swej ukochanej. Tem większa tu zarysowuje się moc ducha, iż znowu zaczynają się około niego słyszeć rady i namowy do pozostania. Człowiek mniejszej woli i bardziej podatnych usposobień, chętnie poddałby się tym namowom, zachętom; wszedłszy na pośrednie drogi, rzekomo niewiodące do połączenia się z ową ukochaną cudzoziemką, do zrywania z krajem, do wprowadzenia innych pierwiastków do gniazd ro-

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Sierpniu 1882 r.

dzinnych.—Pozostań z półtoratysiącym hufcem Imci pana Piaseczyńskiego, będziesz miał jeszcze szerokie pole odznaczenia się, zasługi; pozostań jeszcze z nami—mawiali liczni przyjaciele, doradcy. I krasny Ryłski wśród nich się znalazł. I on namawiał do pozostania w obozie; miał tu na celu i wypróbowanie stałości charakteru towarzysza broni i powinowatego zarazem, i może przezeń mówiły potrosze zamiary egoistyczne; Ryłski bowiem należał również do szeregów Piaseczyńskiego, które miały tam jeszcze czas jakiś próbować miecza swego siły na szwedzkich karkach.

W słowach tego powinowatego, a brata po mieczu, brzmiały, zdaje się, nuty zachęty jedynie do pozostania w jednych hufcach, do walczenia pod temizsamemi proporcjami; niemniej jednak Pasek i tych pośrednich dróg się obawiał. W umyśle jego już tryumfującym nad uczuciem, brzmiały jakimś dźwiękiem niesfornym słowa krewniaka. Środkowcem, oszukującym siebie, wchodzącym z sobą w rokowania, człowiek XVII wieku być nie chciał... nie umiał...

„Będzie jeszcze wiele okazyj — mówił ów Ryłski, gdy wchodził na tor namów — tam możemy być i postanowić o dalszem, a potem wolno będzie czynić z tem, co chcemy“.

To, tajemniczo wyrzeczone, „tam“, zadźwięczało w głębi piersi rycerza. Zwycięzca samego siebie, w głębi ducha swego jeszcze raz się zawahał. Był to ostatni strzał ustępującego z pola, zwyciężonego uczucia. Zawahał się, lecz się nie cofnął i zadmą, by najmniejszym, słowem nie zdradził swego samotnego wahania się. Tylko „myśl nachyliła się do tej perswazyi“, lecz lot myśli szybkim jest; nadpłynęła ona, nachyliła się, wnet jednak i zniknęła na szybkiej fali rozumowania. Tryumfujący rozsądek nie pozwolił jej gościć w swej zwycięskiej dziedzinie.

W niewiele dni później już otrąbiono odejście „Czarnieczyków“ do Polski. I Pasek szedł z nimi, acz boleś wyciskała mu łzy na rycerskie jego oblicze. Lecz się on nie wstydział, bezwiednie bowiem odgadywał, że te łzy dorzucają laurów do jego moralnego zwycięstwa. — „Poszliśmy tedy — pisze on o sobie po wielu latach — poszliśmy tedy szczęśliwie ku granicy, pożegnawszy się z owymi, co tam popozostawali i zapłakawszy, poglądając w tamtą stronę, gdzie się mnie na zimę spodziewano“.

Szczerze Pasek o łzach swych mówi, o łzach nieziszczonych rojeń miłości. Nie wstrzymywał on ich, dawał im wodze, by płynęły całym strumieniem. Nie wstrzymywał, ani swych łez, ani też wzroku, który wciąż zagał go do oglądania się, bo biegł wstecz, przebywał na łodzi wyobraźni cieżniny wód duńskich i stawał u bram ukochanej. Lecz wzrok ten, acz wciąż cofający się, nie doścignął owych gońców, których ku niemu słała ukochana, acz gońców tych było kilku: wielili listy, zaklęcia, wezwania do powrotu. Czyby się im poddał, gdyby go dościgli? Czy niedość, iż swą myśl, wzrok, ale i stopy wstecz-by cofnął? Nie wątpimy, iż i tym razem wyszedłby zwycięsko. Nie szukał on walki z miłością, lecz wszedłszy w te szranki, umiał zawsze na wodzy trzymać wyobraźnię i uczucie, a przeto i umiał zwyciężać, nigdy nie przestawał być sobą. Ponad miłością kobiety górowała w nim miłość ku społeczeństwu, górowało wysokie poczucie swych obowiązków i te-to czynniki były jego puklerzem i sprzymierzeńcem zarazem. Im-to, nie sobie, zawdzięczał zwycięstwo; one sprawiły, iż był sobą, sobą pozostał i w chwili ciężkiego bólu, gdy poświęcał miłość dla obowiązku, mógłby był z Dantem zawołać: — „Wielką miłością swoich ja kochałem — dzisiaj ta miłość tu się doskonali“.

U źródła Końskich Wód, d. 18 Lipca 1882 r.

Opóźniłem z umysłu peryodyczną moją korespondencyą, w nadziei obfitszego wiadomości plonu: tymczasem pora ogórkowa tak ciężko zawisła nad nami, iż bodaj czy mi się uda nawet z dłuższego przeciągu czasu zebrać wiadomości bardziej zajmujące. Pono i teraz jak przed kilku tygodniami, przyjdzie mi tylko pisać o deszczu i o pogodzie, zwłaszcza o deszczu, który przeciągałą słotą zamienia się w klęskę prawdziwą. Najcudniejsze tegoroczne zbiory w oczach marnieją, pszenica na pniu porasta, w wielu miejscowościach woda zalała pola i zniszczyła całą żniw nadzieję. Smutek powszechny maluje się na obliczu rolników, oplakujących nietylko i nietyłe własne osobiste straty, jak ogólną klęskę w dzielnicy tak ciężko już wypróbowanej, gdzie każdy zły rok pociąga za sobą nowe sprzedaże polskiej ziemi, nowe uszczerbki ogólnego kapitału ludzi, roli i pracy.

A ile razy nam zagrażają podobne straty i ubytki, tylekroć smutna myśl zwraca się ku tym *nieobecnym*, których parę lat temu *Niwa* wywołała przed sąd opinii, a których nie brak i w naszym biednym zakątku. Wśród ogólnego krzątania się i obywatelskiej działalności nie trudno znaleźć i u nas ludzi, nazwiskiem, położeniem i majątkiem pasowanych na przewodzców każdego pocziwego trudu, na pochodnie dobrego przykładu i zacnej posługi, a których przecież niema w kraju, na żadnych szlakach pracy, na żadnych torach cnoty. Paryż, Berlin, Wiedeń, Nicea i Monaco znają tych *nieobecnym* naszych, których żaden ściślejszy obowiązek, żadna dobrze zrozumiana powinność nie zastrzymuje na ojcowiskim zagonie. Brak ich osobistości nie stanowiłby zapewne wielkiego uszczerbku, gdyby nie szło z tem w parze podwójne trwonięcie, i majątku, i zapasu tradycyji związanych z pocziwem niegdyś i zasłużonem imieniem. A co najsmutniejsza: owych nieobecnym najczęściej doliczyć się można wśród młodzieży, niedarmo złotą nazwaną, bo najbogatszej, a nierozumiejącej, że nietylko *noblesse*, ale i *fortune*, *obligé*!

Szczęściem są to wyjątki, jednostki tylko, ogół zaś coraz chętniejszą i pracowitszą podaje rękę ku wspólnej budowie i pracy społecznej. Obecnie bliskość nowych wyborów do sejmu wywołuje żywą agitacyą, mnoży zebrania powiatowe i sejmiki relacyjne, na których byli deputowani składają wyborcom sprawozdania ze swej czynności poselskiej. Do znanych nazwisk dotychczasowych naszych parlamentarnych szermierzy obecnie przybędzie kilka nowych imion, których kandydatury świeżo zostały postawione i nader przychylnie są witane. Mężowie nauki i pracy, znani z chwalebnych historycznych dociekań i trudów, przejdą z cichej pracy na szerszą arenę sejmowych zapasów. Wymieniają mianowicie nazwiska p. Kazimierza Jarochońskiego, zasłużonego badacza Epoki Saskiej, oraz p. Ignacego Zakrzewskiego, wydawcy Kodeksu Wielkopolskiego i prawdziwego archiwisty naszej dzielnicy, która posiada tak znaczne skarby dokumentów i aktów sięgających najgłębszej przeszłości.

Wyjaśnianie przeszłości, dalszej czy bliższej, za pomocą licznych wydawnictw pamiętnikowych, wciąż postępuje naprzód, przeważnie skutkiem czynnych zachodów i ofiarności p. J. K. Żupańskiego, jak to już nieraz tutaj donosiłem. Obecnie zapowiedziana publikacya korespondencyi Katarzyny z Potockich Kossakowskiej, sławnej z dowcipu Kasztelanowej Kamieńskiej, wielką wzniesła ciekawość wspomnieniem gryzącego dowcipu tej pani, która nie szczędziła ostrych docinków Stanisławowi Augustowi, a której koncepta, przechodzące z ust do ust, przechowały się aż do dni naszych. Świeżo jedno z czasopism krakowskich wydało początek pamiętnika mającego osobną dla naszej dzielnicy wagę i znaczenie. Błada i zatarta postać Żanety Grudzińskiej, Księż

zny Łowickiej, ożywiła się nieco licznymi wyjątkami z jej listów, pisanych do najbliższej rodziny. Pani ta, której przeznaczonem było umierać w Carskiem Siole, daleko od swoich i od stron rodzinnych, urodzeniem i stosunkami należała do Księstwa Poznańskiego, gdzie Grudzińscy oddawna wśród szlachty wielkopolskiej poczesne zajmowali miejsce. Potomkowie butnych Grzymalczyków, których zatargi z Nałęczami niegdyś zakrwawiły krótkie bezkrólewie po zgonie Ludwika Węgierskiego, Grudzińscy rychło wzrosli do najpierwszych dostojeństw, zasiadając dziedzicznie na senatorskich krzesłach. Ród ten niespokojny podał rękę szwedzkiemu najeźdźnikowi, skutkiem zapewne jakiej osobistej urazy królewicza polskiego do króla, — używamy tu sławnego już dziś wyrażenia Szajnoch. Joanna Grudzińska nie odziedziczyła namiętności politycznych ani ambicji swych przodków. Jak to okazują jej listy, jak wypada z sądu społecznych, charakter jej głównie się odznaczał łagodnością i dobrocią, a chorobliwa exaltacya i sentymentalność epoki cechowały jej rozbijałą wyobraźnię. Z opowiadania najświeższego jej biografa wynika, że, zrazu bardzo nieszczęśliwa, w wysokim związku, jaki zawarła, znalazła następnie uspokojenie i szczęście, skutkiem wiernego i żywego przywiązania swego dostojnego małżonka, który do końca nie przestał jej otaczać najtkliwszą czcią i opieką. Pierwszy tylko rok małżeńskiego pożycia tak był ciężkim, że młoda księżna zapadła w chorobę nerwową, graniczącą z obłąkaniem, i nigdy prawie nie odzyskała już zupełnej równowagi umysłu. Ze wszystkich świadectw zebranych w szkicu pomienionym domyślać się można, iż jakkolwiek pogodzona ze swym losem i przywiązana do męża, znajdowała się jednak zawsze w dość fałszywym położeniu, a roli politycznej nigdy nie grała ani grać nie chciała. W. Książę Konstanty wiele zyskuje na poznaniu ze strony serdecznej; odsłania się w nim wiele zalet ukrytych, których nie domyślano się powszechnie, a które się rozwinęły pod wpływem żony. Najcięższym bodaj krzyżem w życiu pięknej Żanety była własna jej matka, pani Brońcowa, osoba dziwnie pospolita i ograniczona, typ pieniaczki dawnego autoramentu w wiecznych finansowych kłopotach i processach, do których gwałtem próbowała wciągnąć pełną taktu i godności córkę; ta wszakże umiała pogodzić stanowcze odmowy z najtkliwszem przywiązaniem.

Razący charakter pani Brońcowej tembardziej uderza, iż pieniacstwo zapomniana jest u nas wada, i zwłaszcza na naszym pocziwym gruncie całkiem zniknęło wraz z kłosem wielu innych złych skłonności i nałogów. Nie słychać tu nigdy o waśniach i zatargach sąsiedzkich lub rodowych, i długie lata minąć mogą, zanim jaka *cause célèbre* ożywić zdoła przelotnie zamarłe trybunałów szranki. W tej jednak chwili donioślejszy proces zajmuje całą niemal opinią publiczną, rozdzieloną na dwa obozy: spór wiedziony przez spadkobierców s. p. Bronisława Dąbrowskiego i żony jego, Weroniki z Łąckich, z jednej strony, asiostrę, znaną w literaturze panią Bogulinę Mańkowską z drugiej. Ostatecznie rozstrzygnięty on został na korzyść tej ostatniej; przyznano jej pierwsze prawo do dziedzictwa ojcowizny i objęcia po bracie tej wspaniałej Winnogóry, niegdyś dotacyą cesarza Napoleona zawarowanej wodzowi legionów. Czcią i czynem przywiązaniem do pamięci swego wielkiego ojca, pani Mańkowska dobrze zasługiwała na oddanie w jej ręce i pod jej straż serdeczną pamiątek nagromadzonych w tem miejscu. Winnogóra jest niezawodnie jedną z piękniejszych rezydencyj w naszym księstwie. Wspaniała ogród uprawia w ramy zieloności wielkie Dąbrowskiego wspomnienia. Pałac sam może być uważanym w części za rodzaj muzeum po bohaterze. W powietrzu drga mazurek związany z jego imieniem. Wiadomo, że gdy generałowi Dąbrowskiemu wspominało księgi lub posagi upamiętniające czyny waleczne jego towarzyszy broni, on odpowiadał z uśmiechem: *A ja mam mego mazurka!* Wiedział bowiem dobrze, że pieśń więcej znaczy od głązów i pergaminów. W kościele też winnogórskim, na grobie rycerza, widać tylko pierwsze wyrazy owej nuty, która wiodła ojców do zwycięstwa, a

synów do nadziei. General Dąbrowski nie zostawił wnuka swego nazwiska; jest wszelako nadzieja, że który z jego prawnuków wraz z siedzibą wodza przejmie i sławne jego imię, na co nie trudno uzyskać tu zatwierdzenie rządowe. Mamy tego przykład *ex. gr.* w rodzinie Kwileckich, gdzie ordynacją w braku męskiego spadkobiercy przejął hr. Węsierski, przybierając nazwisko Węsierski-Kwilecki, z warunkiem, iż syn już tylko Kwileckim zwać się będzie. Ostatni z rodu Działyńskich, hr. Jan, podobnie wraz z majątkiem chciał znakomite w Rzpltej nazwisko przekazać dziedzictwem synowcowi swemu, hr. Władysławowi Zamoyskiemu. Młodzieniec ten wszelako nie chciał się zgodzić na warunek odmiany nazwiska, przekładając prawdopodobną ztąd utratę znacznego spadku nad uszczerbek spuścizny odziedziczonej po hetmanach i kanclerzach koronnych. Z szlachetnem wyrozumieniem dla oporu młodziana hr. Jan Działyński ostatecznie odstąpił od pierwotnego zamiaru, unosząc z sobą w mogiłę niktą nazwisko swoje, a oddając tradycję i zobowiązania rodzinne w ręce Zamoyskich.

Do tylu składek i ofiar, których odgłosy raz po raz w listach się moich znajdują, przybywa obecnie troska o losy teatru polskiego w Poznaniu. Wiadomo, jak trudnem jest utrzymanie tej instytucji w mieście posiadającym trójplemienną ludność. Podjęto myśl praktyczną i skuteczną drobnych, ale ogólnych datków, powszechnem składaniem dziesięciofenigowej ofiary. Sprawdzają się tu rzeczywista wyższość groszowych składek nad znaczne dary próżności; fundusz bowiem tym sposobem gromadzony rośnie w oczach, zwłaszcza, iż nikt się nie uchyla od tego dobrowolnego opodatkowania naszej społeczności. Gdyby przynajmniej te wszystkie zachody opłaciły się, nie tylko zachowaniem tak cennej instytucji, ale i rozwinięciem w dyrekcji poczucia zaciągniętych wobec naszej dzielnicy zobowiązań i zrozumienia właściwego posłannictwa teatru! Wszakże ma on być szkołą moralności, przybytkiem i ochroną mowy polskiej, świątynią uszlachetniających wpływów, czego domaćać się trudno, gdy w miejsce zdrowych i swoich utworów, snują się na scenie same tylko operetki lub tłumaczenia najnowszych śmieci paryżkich.

Życie towarzyskie niedawno poniosło znaczną stratę, przez zgon hr. Franciszki z Lubowieckich Potworowskiej, wdowy po marszałku Edwardzie Potworowskim. Pani ta od lat wielu była prawdziwym filarem stosunków towarzyskich w naszej dzielnicy. Rozum i wdzięk, utrwalający się przez całe życie, obok dobroci serca i rzadkiej uprzejmości, osobne jednały jej stanowisko i ogólną żyyczliwość zapewniały. Wśród licznych obowiązków rodzinnych, przy miłośniczej działalności i ciągłym udziale w ruchu społecznym księżstwa hr. Franciszka Potworowska znajdowała jeszcze dość czasu, aby folgować ulubionemu zamiłowaniu literatury ojczystej. Nieczęsto ogłaszała drukiem swe utwory, ale pisała do końca i dużo i dobrze: to wierszyki udatne, to rzewne modlitwy, to powiastki dla młodzieży, do czego zachęcała ją drużyna wzrastających w około niej wnucząt. Cechą to bodaj naszej prowincji, takie późne dojrzewanie wrodzonych zdolności: za młodu czynne życie i obowiązki żon i matek wytrącają pióro z rąk. Dopiero z uciśnieniem, jakie daje wiek, sędziwe nieraz babunie dla najbliższych i najdroższych otwierają uskarbione przez długie życie zasoby. Obok zgazłej świeżo pani Potworowskiej wspomnieć należy i żyjące podziś dzień: panią Mańkowską, oraz p. A. z Lipskich Baranowską, które podobnie dopiero o dnia zachodzie dzielą się z powszechnością plonem swych zdolności pisarskich.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Lipcu 1882 r.

Wycieczka na Czarnohorę. — Przeszkody i niebezpieczeństwa. — Nocleg na plebanii. — Podróż w góry konno. — „Brzydkie Miejsce“. — Dramat w naturze. — Niebezpieczna żegluga. — Obiad o północy. — † Kazimierz hr. Krasicki. — Wystawa Sztuk Pięknych.

(Dokończenie).

W chwili, kiedy to piszę, na gmachu Zakładu im. Ossolińskich, na Towarzystwie Kredytowym Ziemi, na dworcach kolei powiewają czarne chorągwie. Umarł Kazimierz hr. Krasicki, wieloletni prezes Towarzystwa Kredytowego, członek Rady zawiadowczej kolei Karola Ludwika, a od śmierci s. p. księcia Jerzego Lubomirskiego, Kurator zastępca Zakładu im. Ossolińskich. Sama rozliczność zajęć i piastowanych godności okazuje, jak był wszechstronnie czynnym i ile na rozmaitem polu pracy publicznej zasług położył. Młodzieniec ukończywszy akademią wojskową w Wiedniu, pośpieszył na odgłos wojny na pole bitwy, gdzie się dosłużył stopnia kapitana kwaterymistrzostwa i krzyża zasługi wojskowej. Powróciwszy do domu, nie znajdując na wsi odpowiedniego dla siebie pola działalności, zamieszkał stale we Lwowie, w owym czasie, kiedy, głównie za pobudką i staraniem s. p. księcia Leona Sapiehy, Galicya wchodziła w epokę reform ekonomicznych, i tworzył się cały szereg instytucji, mających na celu podniesienie dobrobytu kraju. W sejmach ówczesnych, mających bardzo małe znaczenie i nader szczupły zakres działania, albowiem pozostawiono im jedynie prawo petycji, i to bardzo ograniczone, podniesione zostały pomimo tego projekta czynszowania włościan i budowy kolei żelaznej.

Wówczas-to kolejno, jedna za drugą, weszły w życie instytucje takie, jak Towarzystwo Gospodarskie, Towarzystwo Kredytowe Ziemi, Kasa Nszczędności i Szkoła Rolnicza Dublańska. Na czele wszystkich widzimy księcia Leona Sapiehy, którego żywot ściśle się wiąże z dziejami ekonomicznymi Galicyi lat kilku dziesięciu. S. p. Kazimierz Krasicki należał do grona tych ludzi, odznaczających się zdolnościami i ogrzanych ciepłem uczuć obywatelskich, jak Tadeusz Wasilewski, Izidor Pietruski, Kornel Krzczonowicz, Ludwik Skrzyński, którzy, otaczając księcia Leona, tworzyli zastęp pracowników, do wspólnego dążących z nim celu i dzielnie mu w urzeczywistnieniu powziętych zamiarów dopomagali. Krasicki jako talent organizacyjny, naukowo obznajomiony z zasadami finansowości, był jednym z najczynniejszych w tem gronie, gorliwie zajmując się praktycznem wprowadzaniem w życie wywymienionych instytucji; utrwaliwszy byt ich przez dobrą organizację jako wiceprezes wspólnie z księciem Sapiehą przez wiele lat u steru ich pozostawał; a gdy z ogłoszeniem ery konstytucyjnej w Austrii książę, powołany na Marszałka krajowego, wyłącznie oddany zajęciom nowego stanowiska, usunął się od kierownictwa wszystkich tych instytucji, na których przedtem stał czele, Kazimierz Krasicki zajął jego miejsce, wybrany prezesem Towarzystwa Kredytowego Ziemi, którą to posadę, podobnie jak kuratorem Kasy Oszczędności, do śmierci piastował. Prezesem Towarzystwa Gospodarskiego był w czasach najtrudniejszych od roku 1861, kiedy byt towarzystwa był z gruntu zagrożony i tylko osobistym wpływem s. p. Krasickiego i jego umiarkowanej rozprawie przypisać należy, iż towarzystwo pomienione, przeżywszy ten niebezpieczny dla siebie okres, mogło za nastaniem pomyślniejszych okoliczności wejść na tę drogę postępowego rozwoju, na której się dzisiaj znajduje. A chociaż to już lat kilkanaście upłynęło odkąd się od jego steru usunął, dobroczynne ślady jego w niem działalności pozostaną zawsze widoczne; co zaś do Towarzystwa Kredytowego Ziemi, którego był duszą do ostatniej chwili,

li, to wzorowa jego organizacja i świetny finansowy rozwój dostatecznie świadczą o zdolnościach i zasłudze zmarłego.

Z przekonani konserwatysta, trzymający się w życiu publicznem zawsze zasad ściśle legalnych, przytem gwałtownego temperamentu, surowy dla podwładnych, s. p. Krasicki nie był popularnym: oczywiście nieumniejsza to rzeczywistych zasług położonych na polu, na którem pracował. Nie będę opisywał pogrzebu, odbytego z całą w takich razach zwykłą uroczystością. Byli na nim obecni reprezentanci wszystkich publicznych zakładów tutejszych, rządu i władz autonomicznych w orszaku licznie zgromadzonej publiczności. Kilkanaście wieńców i krzyż wojskowy niesiono przed trumną. Przed gmachem Zakładu im. Ossolińskich miał mowę dyrektor Zakładu, d-r Kętrzyński i wykazał zasługi zmarłego jako kuratora zastępcy. Po nim przemówił Włodzimierz hr. Russocki, wiceprezes Towarzystwa Kredytowego, towarzysz od lat czterdziestu prac s. p. Krasickiego w Towarzystwie Gospodarskim, w Towarzystwie Kredytowym i innych instytucjach krajowych. Pod wpływem wspomnień tego wieloletniego koleżeństwa mówca był do głębi serca rozrzuwiony i w pełnych szczerzego żalu słowach podniósł obywatelską stronę zasług nieboszczyka. W kościele katedralnym miał nad katafalkiem kazanie żałobne, wiele podniosłych myśli mieszczące, x. Podolski, a na dworcu kolei, z kąd zwłoki do grobu na prowincję odwieziono, przemówił w serdecznych wyrazach, imieniem szczupłej garstki pozostałych jeszcze towarzyszy broni, członek Wydziału Krajowego, Waleryan Podlewski, i gorącą swą przemową do łez prawie poruszył obecnych, budząc wzniosłe wspomnienia przeszłości.

Wystawie sztuk pięknych nie wiecie się w tym roku. Z powodów, o których w przeszłym liście wspominałem, otwarto ją znacznie później niż zazwyczaj, w porze kiedy już wyjechali z miasta wszyscy, co na lato wyjeżdżać zwykli. Niema więc komu jej oglądać; dodawszy jeszcze do tego ciągle sloty, nie można się dziwić, że niewiele znachodzi się wielbicieli sztuki, chcących podjąć pielgrzymkę na Nowy Świat, do gmachu akademii politechnicznej, aby zwiedzić wystawę. Codzienny też obrachunek kasy wieczorem wykazuje tak szczupłą, jak nigdy jeszcze nie bywało, liczbę gości zwiedzających. A szkoda, bo wystawa tego-roczna ma niektóre rzeczy tak piękne, jakie nie zawsze na dawniejszych się znajdowały. Nic to wszakże nie pomaga. Niema wojny, gdy niema żołnierza. Pustką stoi plac boju, a pomiędzy stalugami, cenne utrzymującami płótna, przesuwają się pojedynczo nieliczni maruderzy, których konieczność w mieście zatrzymała i zmusiła lubować się w pięknościach pędzla, zamiast w pięknościach przyrody wprost u źródła sztuki. I tak będzie zapewne już do końca Sierpnia, i dopiero we Wrześniu, jeżeli wystawa dłużej potrwa, gdy się sejm zbierze, wróci młodzież szkolna i cała warstwa publiczności, używającej obecnie *villegiatury* po rozmaitych stronach świata, wówczas dopiero spodziewać się będzie można liczniejszych gości i większego dochodu.

Nim to nastąpi, przejrzyjmy pobieżnie wystawę, mając swobodniejszy przystęp do obrazów, niż później, przy większym gości natłoku. Najwięcej zwraca na siebie uwagę zaraz u wstępu duży obraz *Merwarta*, przedstawiający scenę z poematu Alfreda de Vigny: młodzieńca unoszącego z fal *potopu* na szczyty Araratu już tylko martwe zwłoki dziewczycy, wiszące mu na ramieniu. Wątle siły dziesięćce nie zniosły znużenia i okropności wrażeń. Lecz i on sam pomimo nadludzkich wysiłków ulegnie wnet rozruchanemu żywiołowi. Woda sięga coraz wyżej po gór szczyty, oblewa go spienionymi falami. Niebo i wód przestrzeń spływają się z sobą, pochłonięwszy cały widnokrąg. Piękny to z wielu względów obraz. Postać młodzieńca, atletyczna, wybornie modelowana, jest wyrazem rozpaczliwego wysiłku, odpowiedniego grozie chwili. Przejrzystość fal, uderzających o skałę i oblewających ciało, przepysnie oddana. Dwa pomniejsze obrazki rodzajowe *Merwarta*: *Kotka faworytka* i *Na huśtawce* odznaczają się ży-

wością na efekt obliczonego kolorytu, jaką celuje nowożytna szkoła francuska.

Styka ilustruje sceny z „Lilli Wenedy“. Na płótnie dużych rozmiarów przedstawił Lillę prowadzącą Derwidę przez pobożowisko do obozu Wenedów. Obie postacie dobrze pomyślane. Na ramie tego obrazu umieścił artysta trzy drobnego rozmiaru szkice innych scen tegoż poematu, grupujące się obok głównej kompozycji, które kiedyś zapewne posłużą mu za przedmiot do większych obrazów. Drugi większy obraz Styki przedstawia Erminię z *Jerozolimy wyzwolonej* Torkwata Tassa, jako blakającą się po lesie pasterkę, w tęsknem rozmarzeniu imię Tankreda wycinającą po drzewach. Styka wybiera sobie jak widzimy romantyczno-fantastyczne przedmioty. Trudne to zadanie: połączyć w tego rodzaju kompozycjach prostotę natury z allegorią poetycznej treści, co przy poprawności rysunku w ogóle stanowi wartość dzieła. Styka jest na dobrej drodze; malarz to młody, ale wiele obiecujący.

Duks przedstawił matkę bolejącą po stracie dziecka nad próżną kolebką. Jest wiele prawdziwego smutku w tej postaci z pochylonem obliczem, pełnem sympatycznego wyrazu.

Rybkowski w obrazku zatytułowanym *Na chybił trafił* przedstawił po zaspach śniegowych cwałem przed zgrajami wilków umykające sanie. Konie spłoszone mkną całym pędem po bezdrożu, a siedzący w saniach podróżny, ujawszy strzelbę, pali na chybił trafił do pogoni, dosyć jeszcze daleko będącej. Rybkowski studjuje naturę, kształci się i postępuje, co widać z porównania jego obrazów dzisiejszych z wykonanymi przed dwoma laty.

Wielki obraz Lipińskiego *Processya Bożego Ciała* jest kompozycją, powiedziałbym, typową, uwieczniającą na płótnie społeczeństwo dzisiejsze w jednej z chwil uroczystych, przedstawiającą obyczaj religijny z całą prawdą rzeczywistości. Wszystkie tu postacie dobrze obmyślane i ugrupowane, począwszy od gwarzących pomiędzy sobą po dziecinemu dziewczynek w białe sukienki świąteczne ustrojonych, otwierających pochód processyi, bardzo miły sprawujących widok. Wielka rozmaitość strojów, kontusze, kapoty mieszczkańskie, habity zakonników, ornaty, chorągwie, obrazy niesione strojne kwiatami, stroje kobiece pomimo całej swej różnorodności, nie tworzą jaskrawej pstrokaczyny, lecz są bardzo dobrze szarmonizowane. Największą wszakże zaletą obrazu jest ugrupowanie i charakterystyczny rysunek wszystkich postaci tworzących ten tłum zmieszany, a pomimo tego posuwający się w wielkim porządku z poważną godnością. Z tego powodu obraz ten wydaje się bardzo dobrze na rycinach.

Dwa obrazy Gersona: *Poranek*, w postaci dzieci z słonecznych wyżyn sypiącej róże na ziemię i *Wieczór*, przedstawiający hożą wieśniaczkę z koszem owoców, zwracają na siebie uwagę. Szczególniej pierwszy z nich ma wiele wdzięku.

Zygmunt Nadel dał kopię z Murilla: *Chłopców w kości grających*. Jest to jak wiadomo młody głuchoniemy, uczeń Andrzeja Grabowskiego.

W dziale portretów najznakomitsze są utwory *Horowitza* z Warszawy i *Grabowskiego*. Pierwszy dał portret s. p. Leona księcia Sapiehy, byłego marszałka krajowego, wykonany z fotografii, tudzież portret jego żyjącej dotąd małżonki. Oba dwa malowane przepyszenie, zdumiewają wybornie oddaniem podobieństwem, co zwłaszcza w portrecie pośmiertnym, z fotografii robionym, świadczy, że tak powiem, o wielkiej artystycznej intuicji malarza, umiającego z rysów pośmiertnych odczytać i odtworzyć charakter i ducha przeniesionej na płótno osoby. W galerii rodzinnej pozostaną oba te portrety nieocenioną pamiątką, podobnie jak byłyby ozdobą każdego muzeum artystycznego.

Z kilku portretów Grabowskiego, malowanych, jak zawsze, wybornie, odznacza się tym razem swą prawdą typową i wiernem podobieństwem portret świeżo zmarłego s. p. Kazimierza Krasickiego, w bogatym stroju polskim, malowany ostatnimi już czasami przed samą śmiercią. Jest to postać znakomicie odtworzona, z tych, których z dniem każdym mniej już liczymy w przeobrażającym się naszym społeczeństwie.

Pochwalskiego *Partya szachów*, przedstawiająca dwóch zakonników grających w szachy, z których

jeden zakłopotany myśli, jakby uniknąć złowrogiego mata, a drugi serdecznie uradowany tem zakłopotaniem, tryumfująco nań spogląda, jest wybornym rodzajowym obrazkiem.

Świeszewskiego *Laguny weneckie* niewielki krajobrazek, ma wiele powietrznej przestrzeni, wody i nieba, ale zresztą widok zbyt jednostajny nie ma powabu rozmaitości potrzebnej do ożywienia krajobrazu. Grabińskiego *Widok z okolic Krosna* wcale dobry.

Szczególniejszy w swoim rodzaju jest krajobraz Maleckiego *Zamieć śnieżna*. Zamieć jest tak potężna, a śnieg takimi massami oblepił cały widnokrąg, że oprócz drobnej szarej plamki, zapewne podróżnego śniegiem zawianego, nie widać nic zgoła na całej tej czworokątnej przestrzeni, a obraz czyni na pierwszy rzut oka wrażenie arkusza białego papieru, w złote ramy oprawionego. Sam śnieg! Nie wiem, czy tego nie zamało jak na krajobraz? W każdym razie przypomina to potrosze ów kilku pociągami czerwonej kredy na rozkaz Starosty Kaniowskiego przez jakiegoś artystę z musu naprędce wykonany obraz, przedstawiający *Przejście żydów przez Morze Czerwone*, na którym nie widać było ani żydów, bo już przeszli morze, ani ścigających za nimi Egipcjan, bo już utonęli.

Dwa obrazy Gryglewskiego: olejny przedstawiający *Wnętrze kościoła w Krośnie* i akwarella *Kościół św. Katarzyny w Gdańsku*, należą do tych klejnotów artystycznych, które, gdybyśmy w lepszych żyli czasach i mniej kłopotów a więcej mieli złotego kruszcza, na wagę złota-by się opłacały. Pomiedzy akwarellami odznacza się Sozańskiego cały szereg *Typów ludowych i mieszczańskich włoskich*, szkicowanych z natury podczas pobytu we Florencji.

Władysław Zawadzki.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Sierpniu 1882 r.

(Dokończenie)

Zczasem stan ten pogorszył się jeszcze z niezmierną szkodą Egiptu. Rozmnożeni Mamelucy nigdy nie byli bardziej potężnymi i bardziej chciwymi dostatków i władzy; ale też stracili oni z postępem czasu uczucie narodowości, zagubili ten zmysł polityczny, który stanowił siłę owych dynastji, wyszłych z ich szeregów. Ich wodzowie naczelnicy, Ibrahim-bey, Szejjeh-el-Beled i Murad-Bey Emir-el-Haadż (książę pielgrzymstwa), rządząc pod namiestnictwem Porty Ottomańskiej, chociaż w rzeczywistości stali się nakoniec zupełnie niezależnymi od jej władzy, zasługiwali jednak na wyjęcie z pod prawa za swe łupieztwa i zdzierstwa, popełniane codziennie na Egipcjanach i Europejczykach.

W takim stanie były rzeczy w Egipcie, kiedy w 1797 r. dyktoryat francuski, odebrawszy liczne skargi swoich współrodaków osiadłych w Alexandryi i w Kairze, postanowił, że siła zbrojna pod dowództwem generała Bonapartego wysłana zostanie do Egiptu.

Wojsko egipskie, złożone w owej chwili z Mameluków, janczarów paszy i z Fellahów, to jest ludu wiejskiego, prowadzonego kijem na pole bitwy, wojsko to nie stawiało czoła wyprawie francuskiej, tylko w samym początku kampanii. Na wpół zniszczeni w bitwie pod Piramidami i w kilku następnych walkach, Mamelucy zabrali rozproszone swe resztki, i jedni pod wodzą Murada beja, drudzy z tyłu wojska tureckiego, chcieli zorganizować się nanowo, zaraz po odwróceniu armii francuskiej i po wskrzeszeniu paszaliu ottomańskiego.

Mehmet-Ali służył wówczas w wojsku tureckim, gdzie wskutek swoich zdolności i świetnych zasług otrzymał stopień *Serczesmah* (coś nakształt pułkownika) i komendę nad 3000 do 4000 Albańczyków.

Mehmet-Ali urodził się w 1769 r. w Kawala w Rumelii, z biednych rodziców. Zostawszy wczesnie sierotą, przybrany został z miłosierdzia przez ówczesnego kajmakama małej miejsciny Prausta, który mu ułatwił wejście do służby wojskowej i ożenił go później ze swoją kuzynką, mającą niewielki, ale dostateczny dla dwojga młodych, posag. Mehmet-Ali miał wówczas lat 18. Stosunki z francuskim kupcem osiadłym w Kawala obudziły w nim zamiłowanie do handlu, któremu się też pilnie poświęcił, kiedy nagle otrzymał rozkaz udania się natychmiast do Egiptu na czele oddziału Albańczyków zrekrutowanych w Kawala; znajdował się w bitwie pod Abukirem w wojsku tureckim, i tu-to właśnie, uniesiony niezmiernym zapalem dla geniuszu Bonapartego, postanowił również dobić się sławy i zostać wielkim wojownikiem.

Ze swoim stopniem Serczesmaha, Mehmet-Ali zrozumiał prędko jakie osobiste korzyści mógł wyciągnąć, znajdując się na czele swoich Albańczyków, ludzi gotowych na wszystko. Byli to żołnierze niesfori, rabusie chętni zawsze zaprzęść poświęcenie swoje za dobrą gotówkę, ale w gruncie silni i odważni, szczególnie w wyprawach tego rodzaju, dla jakich właśnie pole otwierało się w Egipcie, gdzie wszelki porządek i władza były w ostatecznem rozprężeniu. Mehmet-Ali potrafił już otrzymać wielki wpływ na umysły swoich podwładnych i pracował właśnie nad większem jeszcze jego rozpostarciem, kiedy niespodziany wypadek przyszedł w pomoc jego zamiarom.

Jak tylko władza sultańska została napowrót zaprowadzoną w Egipcie, pasza turecki postanowił przedewszystkiem rozgromić nowy związek władzy Mameluków, ale wojsko wysłane przeciw nim w tym celu doznało zupełnej porażki. Mehmet-Ali, zbyt oddalony od placu boju, nie miał w nim żadnego udziału ze swymi Albańczykami—i odpowiedzialność za tę przegraną rozmyślnie na niego zwałono. Pasza, który się go obawiał, postanowił zgubić go, wciągnawszy w zasadzkę, ale przezorny serczesmah „przewąchał łopatki w grochu“ i łącząc się z Mamelukami, wpadł raptem na paszę, zagnał go aż do Damietty, zbił, wziął w niewolę i z postronkiem na szyi do Kairu przyprowadził za sobą.

Drugi pasza, wysłany z Carogrodu do usmierzania i ukarania buntowników, został wzięty i stracony przez nich. Mehmet-Ali miał już teraz śmiałość wskazać nowego paszę do wyboru sułtanowi, a sam mianowany został kajmakanem, to jest zastępcą paszy przez szejków i naczelników wojska. Na jedno i drugie zgodził się sułtan w 1804 r. Mamelucy w owej chwili nie byli to już owi liczni i bitni, jak ongi, żołnierze. Cały ich zastęp wynosił zaledwie 6000 czy 7000 jeźdźców, podzielonych na dwa nieprzyjazne sobie stronnictwa.

Mehmet-Ali podsycał i utrzymywał panujące pomiędzy nimi niezgody; Kair stał się w ten sposób ogniskiem nieustających rewolucyj. Mamelucy mordowali się co chwila na jego ciasných uliczkach; aż nakoniec lud, rozjątrzony do najwyższego stopnia, zażądał nominacji Mehmet-Alego na miejsce niedołężnego paszy, nieumiejącego ukrócić rozruchów, które zakłócały spokój i bezpieczeństwo miasta.

Mehmet-Ali, korzystając z tak pomyślnego sposobności przywłaszczenia sobie najwyższej władzy, opanował cytadelę i miasto i dopełnił miary wypędzając Mameluków z siedzib, które zajmowali w Kairze i po większych zamkach. Okrzyknęty paszą przez Albańczyków, ulemów i szejków d. 9 Lipca 1805 r. otrzymał z Carogrodu, potwierdzający ten wybór, firman sultański.

W kilka lat później, wezwany przez sułtana na wyprawę przeciw Wehabitom, grożącym zabranie miast świętych (Mekki i Medyny), Mehmet-Ali postanowił zabezpieczyć Egipt przeciw wszelkiemu niebezpieczeństwu, na jakie narazić go mogło wyciągnięcie siły zbrojnej z kraju. Zamiar ostatecznego wytepienia niespokojnych jeszcze Mameluków utrwalił się od owej chwili w jego umyśle.

Wiadoma jest całemu światu owa straszliwa, tragiczna hekatomba dopełniona na zamku w Kairze d. 1 Marca 1811 r. Mamelucy, zaproszeni do cytadelli na festyn z powodu wyjazdu Tussum-pa-

szy do Mekki. Zaufani i spokojni, zamknięci naraz w ciasnych i niezmiernie wysokich murach fortecy, a przytem bezbronni, wystrzelani zostali co do nogi przez Albańczyków, mierzących spokojnie przez górne strzelnice cytadeli. W tenże sam dzień tajemne rozkazy Alego wysłały do Raju Mahometa innych Mameluków osiadłych w główniejszych miejscowościach kraju. Tak w jednym dniu tyrania i despotyzm wytepiły do szczytu sławny ów zastęp wojenny, który od sześciuset przeszło lat trzymał pod strachem i groźbą śmierci przerażony Egipt. W jednej chwili skończył się długi szereg bitew krwawych, czynów gwałtu, zemsty i odwetu.

Gdy się zważy, iż europejskie urządzenia wojskowe wprowadzone przez Mehmeta-Alego, który wziął do nich wzór z wojsk napoleońskich, wprowadzone zostały w Egipcie zaledwie sześćdziesiąt lat temu—wprowadzone w krainie wschodniej, gdzie samowładnie panowały dotąd sześciowiekowe pierwotne tradycje,—przyznać potrzeba, iż było wdzięczną dla nas rzeczą dać poznać w treściwym zarysie czytelnikom naszym ten odwieczny stan rzeczy, wyświecić rzeczywisty geniusz twórcy pierwszego niepodległego paszy Egiptu i pokazać zarazem wartość ludzi wezwanych mu do pomocy w tem dziele przekształcenia i reformy. Przyniesie to może pewną pomoc dla tych, którzy się dziś zajmują sprawami Wschodu, i da im miarę jak oceniać należy wypadki obecne.

Ta, krwią wypisana, data wytepienia Mameluków rozpoczyna nową historyczną erę dla Egiptu, odznaczającą się wytworzeniem prawdziwie miejscowego narodowego wojska, które zastępuje wojowniczą arystokrację pochodzenia obcego i wezwaniem zdolnych officerów wojsk europejskich do przyjęcia udziału w nowej organizacji tej siły zbrojnej. Najbardziej zajmujące studjum jest to gruntowne poznanie ogólnych sił egipskich za czasów Mehmeta Alego i otrzymanych korzyści przez wojsko krajowe pod komendą generałów i officerów tureckich, a pod dyrekcją Francuzów, z pomocą Egipcyan, dawniejszych ich towarzyszy broni, bądź w Egipcie, bądź w wojskach Napoleona.

W 1820 roku po wojnie przeciw Wehabitom i po zajęciu całego prawie wschodniego Sedanu, wojsko egipskie liczyło 24,000 żołnierza. Około połowy Lipca 1824 r. na wezwanie Porty, zajętej wojną z powstaniem Grecji, Mehmet-Ali wysłał 17,000 ludzi, 800 ludzi, cztery kompanie saperów, artylleryą polową i osadniczą—i to dzielnie wyćwiczone wojsko wypływa z portu Alexandryi na 163 statkach, własnej egipskiej marynarki. Naczelnym wodzem był syn Mehmet-Alego, Ibrahim. Wkrótce ruchy na Kandyi uśmierzone i Morea, jeżeli nie zwyciężona zupełnie, to przynajmniej pozbawiona wszelkich zaczepnych środków, była już bliską poddania się. Powodzenie tej wyprawy dowiodło Mehmet-Alemu i wszystkim, czego się można było spodziewać od tak wyćwiczonego wojska. Zamysłał już wówczas stary lew afrykański o zaborze Syrii, kiedy straszna klęska pod Nawarynem zniszczyła flotę turecką i jego własną zarazem i zmusiła go do odroczenia napóźniej zamiarów zaborczych. Zaraz potem, kazał on wzniesić arsenał morski w Alexandryi i wkrótce marynarka egipska, odbudowana i uzbrojona, silniejszą i liczniejszą ukazała się na wodach egipskich, niż przed swem zniszczeniem.

Wojsko, przygotowane na wyprawę syryjską w Listopadzie 1831 roku, pod dowództwem Ibrahima, liczyło 24,000 ludzi i 80 armat. Zdobyło ono wszystkie nadbrzeżne fortece i zniósło wojska tureckie, przewyższające je liczbą, w dwóch walnych bitwach: pod Homs'em dnia 7 Lipca 1832 r. i pod Konjeh'em d. 14 Października t. r.

W dwóch tych bitwach odznaczyl się dawniejszy porucznik francuzki, nazwiskiem Sèves, z imion Oktawian Józef, znany pod nazwiskiem Sulejmana-paszy, jako egipski generał dywizyi i pierwszy doradca Mehmeta-Alego przy przeprowadzaniu wojskowej reorganizacji Egiptu. Poznałem go w szesnaste lat później, podczas mojej podróży do kraju Faraonów w latach 1847 i 8. Po wygranej bitwie pod Konjeh Ibrahim był już w drodze do Konstantynopola; ale wiadomo, że wdanie się mocarstw europejskich zmusiło go do przerwania

wyprawy. Wszelako, zawartym traktatem, Turcja ustąpiła Egipcjom posiadanie Syrii.

W drugiej wyprawie syryjskiej, w 1839 r., wojska egipskie pod dowództwem tegoż samego Ibrahima odniosło znowu świetne zwycięstwo nad Turkami w krwawej i morderczej bitwie pod Nezibem dnia 24 Czerwca 1839 r. Wojsko to liczyło wówczas 43.000 żołnierza. Gwałtowna śmierć sułtana Mahmuda, przypadła d. 30 Czerwca t. r. wskutek tej przegranej, oraz zdanie się floty tureckiej na łaskę wice-króla w porcie Alexandryi w d. 14 Lipca, o mało nie sprawiły głębokiego politycznego przewrotu w sprawach całego Islamu; ale nowe wtrącenie się państw europejskich zmusiło Mehmeta-Alego do zrzeczenia się wszystkich pretensyj, do zwrócenia Porty zawojowanej i krwią okupionej Syrii, przywróciło stan dawny: lennego władcy z ramienia sułtana.

Liczba wojska dosięgła stopniowo 130.000 żołnierza, nie licząc w to wojsk nieregularnych, obrachowywanych na 100.000 ludzi. Wówczas zredukowano ją do 18.000, w myśl Chaty-Szeryfu z d. 1 Lipca 1841 r. W tej sprawie Francja i jej minister Thiers smutną odegrali rolę, pod naciskiem dumy angielskiej.

Od owej pamiętnej chwili stary lew afrykański czuł, iż doszedł do kresu swej chwały. Zniechęcony i niszczonej nieuleczoną chorobą, złożył najwyższą władzę w 1848 roku. Na kilka miesięcy przedtem widziałem go chwil kilka na posłuchaniu, które mi wyrobił wspomniony Sulejman-pasza. W spokojnej, jakby już skamieniałej twarzy, tylko błysk oczu przypominał dawnego bohatera. Władza przeszła w ręce Ibrahima—syna jego—ale niestety! na krótko, bo w kilka miesięcy, poprzedził on do grobu ojca swojego: tak, że kiedy d. 2 Sierpnia 1849 roku stary Mehmet-Ali zamknął oczy w Alexandryi, w owym-to pałacu Ras-el-Tin, który przy ostatnim bombardowaniu pewną odegrał rolę, widział wstępującego na tron swój w żałobie, drugiego swego następcę: Abbasa-ben-Tussuma, najstarszego ze swych wnuków.

Tu możnaby dodać jeszcze, ciekawe szczegóły, które podaje rękopismo o dzisiejszym stanie wojska i administracji w Egipcie; ale te szczegóły, czytelnicy nasi znajdą łatwo w licznych wrażeniach z podróży współczesnych, uczonych wędrowców, albo w obszernych sprawozdaniach dzienników politycznych. Powyższy treściwy zarys nowożytnej przeszłości, jeżeli tak wolno się wyrazić, będzie dostatecznym, aby oświecić drogę poszukiwań dla jednych, albo też sprostować dla drugich, niepewne i niedokładne wiadomości, zebrane wsząd potrosze, pobieżnie. Rolę, którą niegdyś odegrał Mehmet-Ali, z prawdziwym politycznym geniuszem, Arabi-pasza próbuje odegrać dzisiaj w trudniejszych warunkach i z mniejszym zasobem zdolności i siły.

KLEET

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

przez

Abrahama Dreyfuss

przekład z francuzkiego M. Kostrowickiej.

(Dokończenie).

Scena XI.

Filip. — Klara

(Po wyjściu Henryka, Filip i Klara, którzy postępowali za nim, znajdują się naturalnie obok siebie. Spojrzenia ich spotykają się.—Chwila pomieszania.—Odwracają się i idą przez scenę każde z innej strony, nie chcąc patrzeć na siebie).

Filip (krótko)

Rzecz bardzo przykra, to całe wydarzenie!

Amelia (łagodnie zeicha)

Tak!... (z wysiłkiem) Bardzo smutna!

Filip

Pomyśleć, że to się stało w moim domu.... ludzie, których przyjmuję.... których przyjmujemy.... nasi krewni.... i nasi goście.... bo nakoniec to są nasi goście!

Klara (jak pierw)

Tak.... to są.... to są nasi goście....

Filip

Wielka to przykreść dla mnie.... wielka przykreść.... Po tych ostatnich słowach Filip się odwraca. Wzrok jego spotyka się znów ze spojrzeniem Klary. Wzajemne pomieszanie. Małżonkowie padają sobie w objęcia).

Scena XII.

Filip.—Klara.—Antoni.

Antoni (wchodząc)

A! przecież! aż miło!

Filip

Czego chcesz?

Antoni (do siebie)

To aż człowiekowi oczy wypoczywają i pocieszają się po patrzeniu na tamtych. (do Filipa) Panie, tamci państwo kłócą się strasznie i chcą wyjechać.

Klara

Co!....

Filip (żywo)

Chcą wyjechać?

Antoni

Natychmiast.

Klara (żywo)

I może wyniosłeś na ganek ich kufry?

Antoni (z gniewem)

Nie! — Powiedziałem: kiedy kufry przyniesione, to się ich nie odnosi....

Klara (do Filipa)

Co za awantura!

Antoni (w dalszym ciągu swej myśli)

Nie odnosi wcale.

Filip (do Klary)

Muszę z nimi pomówić.

Antoni

Daremne usiłowanie: nie posłuchają pana.

Filip

Nie odzywaj się!

Antoni

Ale kiedy, proszę pana, oni mnie nie chcieli słuchać, to....

Klara (do Filipa)

Trzeba koniecznie przeszkodzić temu nieszczęściu.

Filip

Tak... ale w jaki sposób?... Po tem wszystkim, co sobie powiedzieli wobec nas.... (słychać hałas za sceną).

Antoni

O! czy państwo słyszą?... Znoszą sami pakunki... ale tylko małe.... nie ten wielki kufer! Do kufra musieliby się zabrać oboje!

Klara (do Filipa)

Prawdziwe szaleństwo!

Filip (wzdychając)

Co tu robić?

Antoni (ciągłe do siebie)

Tak, musieliby go wynosić oboje razem!

Filip (do Klary)

Wiesz: zdaje mi się, że znajduję sposób.

Antoni (na stronie, lekceważąco)

A, tak zapewne.... szukaj!

Amelia (głos za sceną)

Nie popychaj mnie!

Klara

Otóż oni!

Amelia (głos przenikliwy)

Nie popychaj mnie!

Klara (przerażona)

Ach, mój Boże! co się tam dzieje!

Filip (do Klary)

Pozwól mi działać!

Scena XIII.

Ciż sami, **Amelia**.—**Henryk**.

Amelia (do Henryka)

Zabraniam ci popychać mnie!

Henryk (do Amelii)

To i ty nie popychaj!

Amelia

Grubianin!

Henryk

Głupia!

Klara (przykro dotknięta)

Och!

Antoni (patrząc na nich z boku)

Et! to jeszcze bagatelka!

Filip (zbliża się—śmiejąc)

Dzięki wam drodzy przyjaciele.... dzięki.... jesteśmy zupełnie nawróceni.

Henryk i Amelia

Co?

Filip

Antoni, odbierz od pani te pudełka... (do Henryka) I ty, stary druhu, zrzuć już tę ohydłą maskę...

Henryk (osłupiały)

Ohydłą maskę?

Filip (śmiejąc się)

Cudowny! cudownie grałeś swą rolę — jak również i ty swoją, kuzynko — i to tylko może nas usprawiedliwić, żeśmy się dali podejść całej tej wybornej komedyi.

Henryk

Komedyi!....

Amelia

Myślicie więc?...!

Filip

Myślemy, że chcieliście nam wykazać całą skandaliczną śmieszność naszego postępowania.... stawiając się w tym samym stosunku.

Klara (z umyślnym przyciskiem, patrząc na Filipa)

Jak Hłoci spartańscy!

Henryk (nawnie)

Ale, kiedy to było naprawdę!

Filip (do Amelii, która spogląda, to na Klare to na Filipa, chcąc odgadnąć ich myśli)

Zaprzecz, dowcipna—kuzynko!

Klara (do Amelii wesoło)

Możesz nie przeczyć... Po tem, co mi powiedziałś, rzecz to niepotrzebna.

Amelia

Cóż ja ci powiedziałam?

Klara (cicho)

Że zawsze potrafimy ich opanować....

Amelia (śmiejąc się)

Sza!

Henryk (do Filipa)

Ale powtarzam ci...?

Filip

Biedny aktor, upojony oklaskami, chce grać jeszcze po zapuszczeniu zasłony! (Henryk patrzy na niego osłupiały). Nie wierzysz mi? spójrz na swoją żonę!

Amelia (po chwili do Henryka)

No! uściskaj mnie.... ateuszu.

Henryk (z uniesieniem)

Ach! (rzuca się w objęcia Amelii)

Antoni (na stronie)

Co! i ci także (głośno do Filipa ze stanowczością) Proszę pana!

Filip

Czego chcesz?

Antoni

Chciałbym się ożenić z pokojówką Marcysią.

Filip (śmiejąc się)

Idyota!

Antoni

Co pan mówi?

Filip

Nic! Żeń się (patrząc na Klare) tylko jej nie czytuj wiele poezyj!

Antoni

Och! o to niema obawy.... bo ja sam proszę pana nie wiem, co to jest.

Amelia (do Filipa)

Czy wiesz, że ona się nauczyła na pamięć *Lazzary*!

Filip

Najdroższa moja!

Klara

Muszę ci się jednak przyznać, że nie umiem całej dobrze.... Ta piękna strofa....

Henryk (do Amelii)

Strofa o kramarzu.... (poprawiając się) raczej o Klefcie!

Filip (uśmiechając się do Klary)

Już ja cię tej strofy nauczę.

(Zasłona spada).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie nowelli pod tyt.: **Utalentowana matka**; oraz początek powieści pod tyt.: **Na wybrzeżu**.

TREŚĆ. Królewiec i Grunwald, opowiadanie historyczne, przez Felixa S***—Zjazd pedagogiczny w Kołomyi, (dalszy ciąg).—Miłość wieków ubiegłych, studyum, (dokończenie), przez Maryana Dubieckiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Poznań).— Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Kleft, komedya, (dokończenie), przez Dreyfuss'a.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Августа 1882 года.